ROK PIĄTY.

—

№ 9.

WARSZAWA

d. 14 (26) lutego

1860.

REDAKCYA

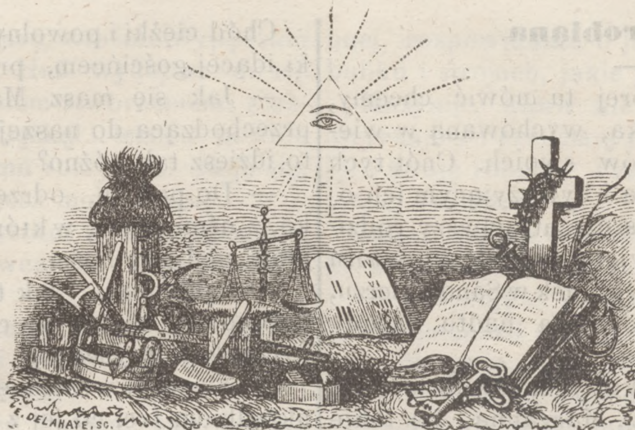
CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

1sza postu.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Jałmużna obmywa, co łakomstwo pomazało, i te grzechy, którycheś, cudze wydzierając, nazbierał, gdy swoje dajesz, obmywasz. Patrzajże, jaka jest moc miłosierdzia, która sama jest cnotą na odkupienie wszystkich grzechów. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Na dzień Popielcowy.

—

Jakże to uroczyście brzmią nam znowu dzwony!
Skończył się czas wesoły uciech karnawału:
W progi kościołów Pańskich dąży lud skruszony
Na modlitwę pokutną, po pustych dniach szału.
Każdy schylony kornie, w proch uderza czołem
I w żywota tajniki myślą się zacieka,
Kiedy kapłan na głowę sypiąc mu popiołem,
Mówi mu o nicości i końcu człowieka.
O! niech z nas dzisiaj każdy myśl swą na to zwróci,
Dokąd go doprowadzi raz obrana droga;
Że co z prochu powstało, to w proch się obróci,
A co z ducha i wiary, powstanie u Boga.
Niech pomni, że Chrystusa trzymając się wiernie,
Dla cierpień nie rzucając świętych ścieżek cnoty,
Jako Boski mistrz jego przez krzyż, ból i ciernie
Przejdzie do wiecznej chwały do stóp swej Golgoty.
Tak święty zakon ojców chowając po prostu,
Usterki swego życia opłakując szczerze,
Zatopieni w modlitwie w dniach Wielkiego postu,
Rozmyślajmy o krwawej Chrystusa ofierze.
Posypmy nasze głowy pokuty popiołem,
Niech myśl nasza nad ziemię modlitwą wybuja,
Nim nadejdzie dzień wielki gdzie znów wraz z kościołem
Zanucimy radośnie święte: Alleluja!

Garderobiana.

—

Dziewczyna, o której tu mówić chcemy, była córką włościańską, wychowaną w wierze i cnotach przodków swoich. Cnót tych w całem życiu strzegła i była żyjącym ich obrazem. Dzieckiem jeszcze utraciwszy rodziców, jako sierota przyjętą była do klasztoru Sgo Ducha PP. Benedyktynek w Sandomierzu, gdzie obok nauki odebrała nadto zasady prawdziwej pobożności.

Doszedłszy lat, w których, jak to mówią, w świat się wychodzi, Maryanna, bo takie było imię owej dziewczyny, powróciła do rodzinnej wioski; lecz zostawszy bez przytułku i utrzymania, zniewoloną była przyjąć obowiązki panny służącej u baronowej Czarnodulskiej, sąsiednich dóbr właścicielki. Biedna sierota długo się wprzód nad tem namyślała, bo służba u tej pani, cierpkiej i porywczej, nie miała powabu, a oprócz tego Maryanna bała się zgrai dworaków i dworek, których zepsucie było znane na okolicę. Zniewolona przecież biedą i koniecznością przyjęła miejsce panny służącej u owej głośnej z kaprysów i dziwactwa baronowej.

Wziąwszy tedy błogosławieństwo od miejscowego proboszcza, pożegnała nad wieczorem rodzinną wioskę i poszła smutna i zadumana przez lasek, za którym ciągnęło się dziedzictwo baronowej.



Chód ciężki i powolny podeszłej wieśniaczki idącej gościńcem, przerwał jej zadumanie.

— Jak się masz Marysiu! odezwała się przechodząca do naszej podróżnej; a dokądże to idziesz tak późno?

— Do pałacu, odrzekła młoda wieśniaczka, z uśmiechem, w którym dostrzedz mogłeś jakiś cień smętności.

— Zgubionaś... Jak to, ty masz służyć i u baronowej? chyba, że chcesz na tej ziemi odbyć pokutę czyscową?

— Niestety! westchnęła Marynia, ocierając ukradkiem łzę, co jej z ócz zbiegała.

— A przecież to ta pani to istotne piekło, zgraja zaś jej dworusów, to urwisy od Bożej męki! A i marszałek dworu sam niewiele lepszy. Czyś ty się dobrze nad tem zastanowiła moje dziecko?

— Tak, niestety, moja Tereso! ale cóż mam począć?.. nie mam rodziców, nie mam nikogo od czasu, jak owa nieszczęsna cholera... tu biedna dziewczyna zaszlochała głośno.

— To prawda, rzekła staruszka rozrzewniona. A może też tylko złe języki tak obgadały tę panią?.. toć to ona, jak wieść niesie, nie bywa nigdy w kościele, nie zna postów, a biednego odprawia z niczem, żegnając tylko wyrazem: *Niech Bóg opatrzy!*

— Ach! Boże, od kogo ty wiesz o tem moja Tereso?

— Od wszystkich ludzi. Od powrotu swego baronowa już odmieniła dwie kucharki, a ty będziesz już czwartą jej panną służącą... a tu dopiero pół roku temu niecałe!

— Postaram się moja droga, spodobać się pani mojej i dołożę tyle cierpliwości, łagodności i tyle gorliwości w służbie, że może tego i dokażę.

— Niech ci Bóg w tem dopomaga!

Tak rozmawiając, wyszły obie z lasku, skąd już już widać było okazały pałac. Marynia pożegnała swą towarzyszkę, która długo za nią patrzała, aż nareszcie pokiwawszy głową, puściła się dalej w swą drogę.

Marynia stawiła się przed marszałkiem dworu; był to starzec pochmurny i skrzywiony, a miał wielką powagę w domu baronowej — wprowadził tu sierotę p. Jan, lokaj w bogatej liberyi, znać z miny frant.

— A! to ty dziewczyno, rzekł marszałek.

przybywasz w samą porę, właśnie wypędzam twoję poprzedniczkę. Hm! wydajesz mi się młodziutkiem i delikatnem stworzeniem, służba u mojej pani jest ciężką!.. trzeba tu i nie dospać często, a nie ma rozrywek! Boję się, że tu niedługo zagrzejesz moje dziecię.

— Robić będę wszystko, co w mojej mocy, odrzekła biedna dziewczyna, i łzy pociekły jej z oczu.

Lokaj już nam znany rzucił na sierotę wzrokiem protektora i przemówił: nie strasz pan tej biednej dziewczyny.

— A to co do ciebie należy? zawołał żywo urażony starzec; nie kładź palca pomiędzy drzwi, bo ci go przytną. Kiedy już odszedł tamten, marszałej mówił dalej:

— Jesteś córką uczciwych rodziców, jak mi mówiono.

— Tak, ale panie! już ich nie mam; Bóg ich powołał do chwały swojej.

— Bóg ich zabrał do swojej chwały? widzę, że jesteś nabożnisią, nie wiem, czy to się mej pani spodoba.

Po tej rozmowie przedstawiono Marynię samej baronowej. Była to kobieta wysoka, trzymająca się prosto, i chuda jak szczapa, a dotego dziwaczna, zła i znudzona życiem. Zmierzyła ona wzrokiem od stóp do głów biedną i drżącą dziewczynę, i zapytała sucho:

— A umiesz czytać?

Gdy na to odebrała odpowiedź potwierdzającą, kazała usiąść Maryni na bliskiem krzesełku, i dawszy jej gazetę, rzekła:

— Czytaj mała!

Marynia przeczytała płynnie i zrozumiale.

— To dobrze, to dobrze, głos masz przyjemny, będzie mię łatwo usypiał. Idź, złóż swe rzeczy w pokoju, który ci marszałek wskaże, a po kolacyi przyjdź tutaj do mnie.

Służba miejscowa, za ukazaniem się Maryni, ciekawie oglądała i wypytywała nowo przybyłą.

Jan, ów lokaj, który Marynię pierwszy przyprowadził przed marszałka, podał jej krzesło, a sam rozsiadł się w wygodnym fotelu i zatopił w jakiejś książce, która zajęła całą uwagę jego lokajskiej mości. Ogrodnik grał w karty ze stangretem, a gospodyni nadymając się jak paw' w swej sukni jedwabnej, rozpowiadała o jakimś bardzo głośnym baliku i strojach, jakie tam widziała.

Marynia, która nic nie rozumiała tych zwyczajów i pretensyj przedpokojowych, wyjęła swoję robotkę i zaczęła haftować przy jednej świeczce.

Jakaś młoda dziewczyna przysunęła drugą świeczkę Maryni.

— Dziękuję ci panno Różo!

Jan podniósł głowy i szepnął:

— Maryniu, to nie jest panna Róża... panna to co innego; nie trzeba szastać tak tytułami.

— A jakże mam mówić? zapytała Marynia.

— Jak?.. Róziu!

— Róziu, zawołała Marynia, i zaledwie śmiech mimowolny stłumić w sobie zdołała.

Zawołano do stołu. Marynia swoim zwyczajem odmówiła modlitwę przed jedzeniem. Lokaje spojrzeli po sobie szyderczo.

— Moja panno, odezwał się zpomiędzy nich Jan, teraz widzę, żeś ze wsi. U nas tego się nie robi, tu inna moda.

— Ależ mój panie, rzekła nieśmiało Marynia, dlaczegoż ja nie mam westchnąć do téj Opatrzności, która mi daje chleb codzienny?

Byłoby to niegodnie, mówiła dalej sierota, unosząc się coraz więcej, odbierać codzień nowe dobrodziejstwa i być za nie niewdzięczną!

— Może panna pozwolisz udko pulardy, rzekł w odpowiedzi na to lokaj.

— Dziękuję, odparła Marynia.

— Ale jest wyborną; panna jadłaś tylko trochę jarzynek.

— Bo dzisiaj jest wigilia i post, odpowiedziała z prostotą zagabnięta.

— A! wybaczysz panna, odezwała się gospodyni, pękając ze śmiechu.

— To prawdziwa nabożnisia, odezwał się grubym głosem stangret.

— Biedne dziewczę, jakiś kaznodzieja wiejski zrobił z niej świętoszkę, dorzucił Jan, ów wielki lokaj w liberyi, spoglądając na sierotę okiem pełnem politowania.

W tem usłyszano dzwonek baronowej.

— Dobranoc moja świętoszko, rzekła z szyderstwem gospodyni.

— Nie zapomnij o mnie w swym pacierzu, dodał stangret.

— Z całem sercem, odrzekła Marynia,

uśmiechając się słodko, sądzę, że to nie będzie zbytecznem.

— Ta mała żartuje z ciebie, przerwał Jan. Stangret zrobił minę pogardliwą i ruszył ramionami.

Pani baronowa dała się rozbierać długo swej pannie, a gdy już była w łóżku, kazała jej wziąć książkę, mówiąc:

— Będziesz ciągle czytała, nie przestając, chociaż zasnę; ten ciągły dźwięk przedłuża mi sen, służy za opium.

Już trzecia po północy wybiła, a biedna sierota czytała jeszcze. Już też był dzień, gdy wyszła z sypialni baronowej i bez sił padła na łóżko. Zaledwie przespała 2 godziny, kiedy dzwonek baronowej nielitościwie ją zbudził. Baronowa, wielka amatorka botaniki (nauka o kwiatach i roślinach) chciała zbierać zioła w swym ogrodzie ze wschodem słońca. Szła za nią biedna Marynia z oczami zaledwie otwartemi, dźwigając na ręku dużą pudlicę, by się nie zamoczyła po rannej rosie. Powróciwszy z tej wyprawy, baronowa siadła do fortepianu, a Marynia stojąc za fotelem, czesała jej włosy. Ćwiczenia te muzyczne trwały dwie godziny; poczem baronowa wsiadła do powozu i wyjechała, zaleciwszy swej pannie naprawę jakiejś woalki koronkowej, do której szczególną wagę przywięzywała. Zostawiona samej sobie Marynia kilka razy mało nie zasnęła nad robotą, i gdy się jej już oczy naprawdę kleiły, wszedł pan Jan i siadując, rzekł poufale:

— A cóż panno Maryanno, kontentaś ze służby?

Dziewczyna westchnęła głęboko, nic nie odpowiedziawszy, bo kłamać nie umiała.

— Baronowa, mówił lokaj poprawiając włosów w pysznem lustrze weneckiem, baronowa jest to stara waryatka, która szaleje naprawdę, i warta gościny u Bonifratrów. Co mówisz panna na to szaleństwo, że sobie czytać każe, kiedy sama śpi? Oknem uciekać od takiej waryatki!

To zuchwalstwo służalca raziło uszy biednej dziewczyny, której sumienie mówiło, jak jest niegodnem złorzeczyć ludziom, których się chleb zjada.

— Mów otwarcie, panno Maryanno, rzekł lokaj, podziwiając się ciągle w lusterku; czyś widziała kiedy kobietę dziwaczniejszą, bardziej wymagającą i nieznośniejszą jak nasza pani?

— Ja tu jestem po to, aby jej służyć, nie zaś, aby ją sądzić, odpowiedziała zimno zapytana.

— Ha, coś to panna ładnego robisz? zapytał fanfaron, poznawszy pismo nosem.

— A tak, pracuję, odparła dziewczyna; czyż nie powinnam pracować, alboż mi za to nie płacą?

— Oj, dziecko, dziecko! zawołał p. Jan, zanosząc się od śmiechu; widać, żeś ze wsi... Dobre to wtenczas, gdy ta stara czarownica patrzy, ale teraz to prawdziwa niedorzeczność!

Może panna jesteś ciekawa przeczytać? mam piękny, nowy romansik.

— Ja nie znam takich książek.

— Jakto, a cóż panna czytujesz?

— Żywoty ŚŚ. pańskich i książki, które ucząc rozrywkę uczciwą dają.

— Stangret miał racyą; to prawdziwa świętoszka, rzekł do siebie lokaj, i wykręciwszy się na pięcie, pożegnał Marynię.

Ależ oto weszła zaraz kucharka.

— Przeklęte domisko! wołała kucharka, siadając na ławie, ach! gdyby nie złotko!

— Co ci to kochana? zapytała Marynia.

— Co? odrzekła rozgniewana kucharka. Oto mdleję, upadam ze zmęczenia. Czyż nie muszę codzień gotować pięciu śniadań: herbatę dla pani, czekoladę dla pana Jana, befsztyk dla stangreta, kotlety dla marszałka, kawę dla gospodyni i t. d. Ach! to okropne!

— Ja ci umniejszę pracy, moja droga: zjem, co mi podasz.

— To się nie godzi, mówiła kucharka z pewnym gestem wspaniałomyślności. Panna tu więcej znaczysz, jak wszyscy, wyjąwszy marszałka, tego starego dziwaka.

— Franciszko! Franciszko! a gdziesz ty się podziewasz? wołała gospodyni, która tu teraz nadeszła. Potrzebuję kolacyi więcej wykwintnej; przyjmuję bowiem dzisiaj gości w mym pokoju; będzie i p. Jan. Sądzę, że i ty panno Maryanno nie odmówisz mi wizyty, mówiła do garderobianny, gdy już kucharki nie było.

— Bardzo dziękuję pani, rzekła Marynia zaambarasowana; służba zatrzymuje mię przy

mojej pani; pani wiesz, że moje czytanie przedłuża się późno w noc.

— Wrzuć opium do napoju, którego baronowa wieczór używa, przerwała gospodyni.

— Nie zrobię tego, odrzekła garderobiana.

— Dziecko jesteś, inni to robią bez najmniejszego skrupułu i dobrze im z tem.

— Sumienie moje wyrzucałoby mi to całe życie, mówiła sierota z żywością.

— Sumienie? powtórzyła z szyderstwem gospodyni... ach! prawda, zapomniałam, żeś panna jest świętą!— ale przynajmniej zachochowasz to przy sobie?

— Zrobię, co do mnie należy; ale gdyby się to powtarzać miało, ostrzegę panią i marszałka.

— Zrób to mała jaszczurko, spróbuj.

— Ja ciebie się mniej lękam niż grzechu.

— Poczekaj; mam ja głos u marszałka!

(Dokończenie nastąpi).

O pijawkach.

I.

—

Pod wielu względami ciekawe to bardzo żyjątka te pijawki; że pożyteczne, niema wątpliwości. W ostatnich mianowicie czasach przekonano się, że niczem nie dadzą się w wielu razach zastąpić. Przytem wszystkiem cena pijawek staje się coraz wyższą. Zbieranie ich po miejscach dzikich, zaniedbanych wyczerpuje z każdym dniem miliony sztuk. W wielu krajach wcale ich niema, z odległych nieraz okolic przychodzi je sprowadzać. Hodują się więc umyślnie, i niejeden skrzętny gospodarz do pięknego za pośrednictwem chowu pijawek doszedł już mająteczku. Dlatego chcę tu pomówić nieco o tych użytecznych żyjątkach.

Trzy są główne gatunki pijawek, które mogą stanowić przedmiot hodowli i handlu, i te są następujące:

1. *Pijawka zielona*, czyli lekarska właściwa.

2. *Pijawka szara*, także lekarska mniej dobra.

3. *Pijawka ciemna i czarna*, zwana pospolicie końską, dzika, zjadliwa wcale niepożyteczna.

Jest jeszcze gatunek pijawki *czerwono nakrapianej*, żyjącej w Sardynii we Włoszech i w Afryce, w okolicach górzystych, dla naszego klimatu zupełnie niestosowny, dlatego też go pomijam.

Pijawka dobrego gatunku powinna być długa i spłaszczona. Skóra na niej przedstawia się bardzo podobną do aksamitu.

Dobrą i zdrową pijawkę łatwo poznać po ruchliwości i pewności jej poruszeń, jakoteż po sposobie, w jaki się obrączki czyli pierscienie przykrywają: im bardziej zwija się w kłębek, tem jest silniejszą.

Wszystkie pijawki, jakie w handlu się znajdują, pochodzą z błot Węgier, Sardynii, Szwajcaryi, Rossyi, Polski, Ziemi Wołoskiej, Grecyi, Egiptu, Tyrolu i niektórych okolic Francyi, gdzie w dzikim znajdują się stanie. Dzisiaj błota te mianowicie we Francyi zostały osuszone, dlatego okazał się brak pijawek i cena ich się podniosła.

Najwłaściwszym tych istot pokarmem jest krew świeżo ze zwierząt wyssana, mianowicie też krew ciepła. Lecz doświadczenie przekonało, że i inne robaki, końskie pijawki, oraz żaby i t. p. w wodach żyjące stworzenia, stanowić mogą pożywienie dla pijawek lekarskich. Nakoniec mogą się pijawki żywić pokarmem roślinnym, lecz to tylko w wielkiej biedzie. Pijawki nadzwyczaj powoli trawią. Raz się najadłszy, mogą żyć bez przyjmowania nowego pokarmu kilka nawet miesięcy. Przy hodowaniu pijawek karmi się je zwykle dwa razy do roku, to jest na wiosnę i przed samą zimą; naturalnie, gdy można częściej, tym lepiej. Hodownicy gospodarni, trzymający pijawki w oddzielnych sadzawkach lub stawach, dla żywienia ich wprowadzają do wody stare i zużyte oraz okaleczałe konie, muły, osły, nawet woły zdechlaki i krowy. Często też żywią pijawki krwią ciepłą, prosto ze szlachtuza otrzymywaną. Tę krew, od twarogu oddzieloną zawiązują w osobnych workach i tam dopiero do niej pijawki przysadzają. W niektórych okolicach, mianowicie we Francyi (koło miasta *Bordo*) na wielką skalę prowadzą hodowlę pijawek, handel też obficie dla nich dostarcza starych koni i t. p. bydląt.

W innych miejscach umyślnie żaby łowią i do sadzawek pijawczanych wrzucają, i w tym celu tak owe sadzawki są urządzone, że

żaby nie mogą się z nich wydostać; mają bowiem te sadzawki prostopadłe z desek, lub też i z muru wybudowane brzegi czyli ściany. Żabka raz się do nich dostawszy, staje się niechybnie pastwą dla chciwie na nią rzucających się pijawek.

Szybkoby się rozmnażały pijawki, gdyby nie miały strasznych nieprzyjaciół, na każdym na nie czychających kroku. Wymienię wam tu ich wszystkich, oraz podam niektóre środki zaradcze.

Tak nazwany *susel* czyli *kretomysz*, zwierzątko szczurowate, jest pierwszym nieprzyjacielem pijawek. Zwierzę to, pomimo nazwy swojej różniące się mocno od właściwych kretów i myszy, jest bardzo małe, i łatwo uchodzi naszej baczności, poszukiwań i pogoni. Obecność jego objawia się wszędzie przez odór piżmowy, jemu tylko właściwy. Okropnie morduje pijawki i unosi ich kadłuby do jam, w których je na zapas gromadzi. Tysiące nieraz pijawek można w takich jamach znajdować. Najlepszym środkiem zabezpieczenia się od niego są żelazka, łapki lub też ponęta zatruta fosforem.

Drugim z rzędu nieprzyjacielem jest *szczur wodny*, który chociaż nie jada pijawek, jakto mylnie niektórzy dotąd mniemali, wszelako hodownikom wyświadcza tysiączne szkody, kopiąc dziury i podziemne jamy, do których pijawki wchodzą dla pozostawiania w nich płodu. Strzelba, ciasto fosforem zaprawne i rozmaite inne środki (np. układane psy, oraz tęgie koty) prędko mogą się przyczynić do oczyszczenia stawów od tych wrogów. Do tej kategoryi należy i *kret* zwyczajny.

Jeż także jest nieprzyjacielem pijawek i to bardzo podstępnym, trzeba więc i na niego mieć oko.

Z *ryb* nieprzyjaciołmi są żarłoczne szczupaki i węgorze, a z owadów wodnych różne gatunki drapieżnych pływaków, tępiące mianowicie młodziutkie zarody i pijaweczki. Najgorszym jest *niedźwiadek*, po nim *stonóg*, wody słodkiej mieszkaniec. Na niedźwiadka doskonały wymyślono środek, polecamy go tutaj, jako wypróbowany:

Układa się warstwa grubego gnoju w rowach, wykopanych w pewnych odstępach, gdzie niedźwiadek przedewszystkiem swe jaja składać lubi. Znoszenie jaj tych drapieżców kończy się w ostatnich dniach marca; w tym czasie zatem jajka znajdujące się w gnoju wygubić można. Gdy zaś odkryjemy otwory, prowadzące do kanałów, jakie tę zwierzęta wykopują sobie w ziemi twardej, otaczającej sadzawkę lub staw, wlewają się w nie mydliny, w skutek czego na tychmiast się niedźwiadki duszą i trują.

Ale największemi niszczycielami pijawek są *kaczki*. Najpierwszym tedy obowiązkiem hodowników jest bronienie przystępu do swych sadzawek pijawczanych tym żarłocznym pływakom. Jeżeli się to ściąga do kaczki swojskiej, to w wyższym jeszcze stopniu stosuje się do *kaczek dzikich*, które się z tego powodu stać powinny celem nieustannego polowania. Wystawcie sobie, że stado dzikich kaczek w przeciągu 24 godzin połknąć może 200,000 pijawek, i były takie wypadki, że jeszcze większe zrządzały szkody, pozbawiając nieraz skrzętnych pracowników całego majątku.

Jeszcze o polowaniu na lwa.

W nrze 1 Czytelni z r. z. opisaliśmy wam kilka polowań na lwy, odbytych przez żołnierzy francuzkich: jednego w r. 1844, w okolicy miasta Filipwil, drugiego w miesiącu październiku 1858 r., pod przywództwem sławnego Gérarda (Żerarda) pogromcą lwów przezwanego; trzeciego wreszcie w miesiącu maju r. z. pod dowództwem tegoż Gérarda, w którem przyjął udział i ziomek nasz Konstanty hr. Branicki, ze swym nieodstępnym kozakiem *Walorkiem*, a gdzie się tak zaszczytnie zimną odwagą i przytomnością umysłu tenże *Walorek* odznaczył.

Obecnie przychodzi nam zdać sprawę ze świeżo odbytego polowania na lwy, w którem gdy główną rolę odegrał jeden z naszych ziomków, pośpieszamy szczegółami o niem z wami się podzielić; oto, co otem mówią dzienniki:

Niedawno kiedy jenerałowie francuzcy organizowali w Afryce armię celem poskromienia niespokojnych swych sąsiadów (Marokańczyków), pewna liczba amatorów polowania złożona z Anglików, Francuzów, Amery-

kanów i jednego Polaka stanęła obok zbierających się wojsk. Ubawiwszy się do znudzenia strzelaniem do celu, panom tym zachciało się doświadczyć własnej odwagi; chcieli wiedzieć, czyli który z nich nie potrafiłby zyskać sławy Gérarda, i czy przypadkiem pomiędzy sobą nie znajdą drugiego, któremuby sprawiedliwie podobnyż tytuł pogromcy lwów przyznać można było. Jeden tylko pomiędzy panami tymi był nasz rodak hr. Stecki, i jemu tylko jednemu udało się przekonać będących z nim cudzoziemców, że i w tego rodzaju zapasach nie zbywa nam na odwadze, że i w nich nawet celować nad innych możemy.

Wiedziano powszechnie o trafności strzałów hrabiego, lecz czy to skutkiem lekceważenia, czy też że mniej ufał broni palnej, tego samego dnia, kiedy wyprawiano się w góry, gdzie jak zwiady arabskie doniosły, dopatrzono ogromnego lwa w jednej jaskini, hrabia nie wziął wcale strzelby i zaledwie pozwolił zatknąć sobie za pas rewolwer o czterech strzałach. Natomiast niósł w ręku włócznię własnego pomysłu, ważącą od 80 do 100 funtów, całą okutą w stali, która właśnie była przedmiotem szczerego śmiechu i dowcipnych żarcików, w sztućce i kindżały uzbrojonych jego towarzyszy, z wyjątkiem jedynie arabów, którzy nie wyrzekli żadnej opinii o nowej tej broni, i ze zwykłą sobie powagą kroczyli za wesołą kawalkadą.

Włócznia ta długości zwyczajnej lancy ułańskiej, zakończona była szerokiem czterokańciastem ostrzem i opatrzona zacięciami w tył odwróconemi, jak to ma miejsce u haczyków wędek na ryby, tak, że ostrze to raz wbite w jakie ciało, nie mogło być z niego wyjęte bez nowego powiększenia rany; sam koniec ostrza opatrzony był drobnemi niezmiernie ząbkami jak u piłki.

Zbliżając się ku miejscu wskazanego legowiska, wszyscy umilkli, ucichły wesołe śmiechy i gwarna rozmowa; niebawem usłyszano ryk lwa, ale aby dojść do miejsca, zkąd ten ryk pochodził, wypadało przebyć mały, lecz tak ciasny wąwóz, że nim zaledwie dwie osoby obok siebie postępować mogły. Już ci, co szli po przedzie, dojrzeli jaskinię, w której lew miał swe legowisko; gdy nagle z gęstych zarośli wystąpił ten król pustyni, idąc powolnym krokiem wprost na hrabiego. Na trwożliwy okrzyk swych towarzyszy odwraca się raptownie hrabia i o kilkanaście zaledwie od siebie kroków spostrzega ogromne zwierzę. Zaskoczony niespodziewanie, ale nieustraszony, pochyla szybko włócznię, i tak przygotowany do obrony czeka niewzruszony na atak nieprzyjaciela. Lew zatrzymuje się także w miejscu, poczem wysuwa naprzód żylaste swe łapy, i kładąc na nich ogromny kudłaty swój łeb, otwiera paszczę zbrojną straszliwemi zębami, bijąc się po bokach ogonem i zdając się tym sposobem gotować do napadu. Niebezpieczeństwo było niezmierne: jedna chwila wahania mogła stać się zgubną. To też hrabia pojmując swoje położenie, nie waha się korzystać z tej chwili nieczynności przeciwnika; szybki jak błyskawica i zręczny w użyciu broni, która snać obcą mu nie była, postępuje naprzód kilka kroków i stalową swą włócznię zatapia w otwartej paszczy strasznego zwierza, który nie tylko że się nie cofa, lecz przeciwnie rzuca się naprzód, i tym sposobem wbija silniej jeszcze zabójcze w własną paszczękę żelazo. Rzut lwa obrachowany był na rozszarpanie przeciwnika, ale ciężar utkwionej włóczni, której ani wyrwać, ani skruszyć nie zdołał, ocalił hrabiego, który odrzucony o kilkanaście kroków, zerwał się z ziemi i dokończając swego dzieła, posłał nieprzyjacielowi dwie kule, z których jedną w oko, drugą zaś w serce go ugodził.

Tak się zakończyła nadzwyczajna ta walka, tem straszniejsza dla widzów, że ci zagrożonemu niebezpieczeństwem żadnego nieść nie mogli ratunku; kula bowiem wymierzona na zwierza łatwo bardzo dosięgnąć mogła hrabiego, gdyż ten w ciasnym wąwozie na jednej ze lwem pozostawał linii. Skoro lew upadł, wszyscy przybiegli, otaczając hrabiego oznakami uwielbienia i radości. Arabowie szczególniej zachwyceni byli odwagą naszego rodaka, i nie mogli znaleść słów na wyrażenie podziwu nad śmiałością i zimną krwią jego. Inni naoczni świadkowie tego spotkania, w kilka dni po owem pamiętnem, polowaniu w powrocie do Europy na brzegach Hiszpanii wyprawili wytworną ucztę na cześć hrabiego, który dziękując im za ten dowód współczucia, prosił zarazem, by nic nie wspominali o

jego mierzeniu się ze lwem, z którego on sam nie może zdać sobie rachunku. Mimo to wszakże czyn ten odwagi i zimnej krwi był zanadto wymownym, aby głośnym stać się nie miał, i do dziś dnia wiadomość o nim już całą obiegła Europę, wzbudzając wszędy podziw i uwielbienie tak dla okazanego męstwa, jak i skromności hrabiego.

Leszek Biały.

(wspominek).

—

Otoczona niewiastami swego dworu, siedziała Helena wdowa po Kazimierzu Sprawiedliwym królu polskim, i wraz z niemi zajmowała się wyszywaniem szat ozdobnych. Głębokie milczenie panowało w tem gronie, wszystkie czoła pochylone, a oczy zwrócone były na igłę.

Wtem szybko otwierają się drzwi, wbiega młodzieniec włosów jasnych, słodkiego spojrzenia, a twarzy delikatnej białej.

— Zkądto mój Leszku? zapytała z troskliwością Helena, widzę, żeś zmęczony... czy wojewoda Sandomierski nie był z tobą?

— Zaraz nadejdzie; pozostawiłem go na placu, gdzie po dwa kroć miecz mój z rąk mu szablę wytrącił, zawołał wesoło Leszek.

— To dobrze, rzekła z uśmiechem Helena, czy tylko wojewoda nie umyślnie dozwolił ci się rozbroić?

— O nie!.. ale oto i on nadchodzi.

W tej chwili w komnacie królowej ukazał się poważny starzec, z wyrazem dobroci na twarzy; był to Goworek, wojewoda Sandomierski, całą duszą przywiązany do młodego Leszka, który też odwdzięczał mu miłość najtkliwszą przyjaźnią.

— Wstydźcie się panie wojewodo, rzekła do wchodzącego żartobliwie królowa, ażeby was starego wojaka taki młodzieniec jak nasz Leszek pokonał.

— Cóż robić miłościwa księżno, odpowiedział Goworek, starość nie radość; człek choćby nie chciał, musi przed młodszym broń swą uchylić.

Gdy tak rozmawiano, wszedł dworzanin z wiadomością o przybyciu wysłańców z Krakowa, którzy w imieniu całego narodu zapraszali Leszka na tron Polski. Udali się Leszek i Helena na przyjęcie posłów, za nimi mi poszedł Goworek, radując się w duszy z wyboru, jaki nad pokrewnych książąt wywyższał wychowańca jego. Lecz posłowie kładli warunek, ażeby wojewoda Sandomierski, któremu wielu panów było nieprzychylnych, natychmiast z Polski oddalonym został.

Oburzyło to szlachetne serce Leszka, na myśl, że miałby zyskać koronę, a stracić najlepszego przyjaciela — nie namyślając się przeto, odpowiedział posłom:

— Byłbym niewdzięcznym, gdybym usłuchał was... Nie chcę berła, jakie mi ofiarujecie, bo wyżej przyjaźń cenię.

Goworek nie dał mu dokończyć, a przybliżając się d'oń, zawołał:

— Nie czyń tego książe! nie opuszczaj dla mnie korony, która do ciebie prawnie należy. Mnie w obcej stronie Bóg nie opuści; i tak nie długo umrę, a tym sposobem się wszystko skończy!..

— O nie! mój drogi przyjacielu! zawołał ze łzami Leszek, ja na to nigdy nie zezwolę. A zwracając się do wysłańców, dodał:

— Wy zaś idźcie i powiedźcie tym, ktorzy was tutaj przysłali, iż przyjmę koronę, lecz Goworka zawsze przy sobie zostawię.

Napróżno posłowie nalegali na Leszka, aby zmienił swoje postanowienie, nic nie pomogło; musieli więc odejść, a powróciwszy do Krakowa, wybrali na księcia Władysława, dla cienkich nóg *Laskonogim* przezwanego. (1).

---

(1) W pięć lat jednak potem, Leszek Biały od jasnych włosów tak nazwany, przyjął koronę i panował lat 20, od roku 1207 do 1227.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 9 (21) lutego 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*